



ZBLIŻENIE



Izabella Cywińska



ZBLIŻENIE

W teatrze fascynowała mnie zawsze możliwość odkrywania prawdy o ludzkim wnętrzu, o ukrytych napiętnościach. Teatr może powiedzieć o człowieku więcej niż inne sztuki, bo jest polifoniczny: wyraża się poprzez słowo i muzykę, architekturę i światło, ruch i psychofizyczność aktora. Teatr, jaki lubię to nieustannie odkrywanie tajemnicy, dialog o sensie istnienia prowadzony między tymi na widowni i tymi na scenie. Teatr potrafiący przekazać głosem współczesnym doświadczenia pokoleń – mówi Izabella Cywińska.



Na planie „Śmierci Taretkina” w Teatrze Telewizji, marzec 1993 r.

Fot. PAT

Baba i dziewczynka

Wybrała teatr polityczny i przez długi czas z autoironią określała siebie jako „homo politicus”. Reżyserując „Wroga ludu” Ibsena pokazała ludzi bojących się przyznać rację komuś, kto głosi niewygodne poglądy. Kiedy Jacek Kuroń siedział w więzieniu, z myślą o nim reżyserowała „Wizytę starszej pani” Dürrenmatta, spektakl o społeczności, która pogrążyła się w samozakłamaniu. Do jej najbardziej znanych przedstawień należy „Oskarżony Czerw” '56 o wypadkach poznańskich. Przyjeżdżały na niego wycieczki robotników z całej Polski.

Teatr marzył mi się już w gimnazjum, ale minęło wiele lat, zanim do niego trafiłam – wspomina. – Jak wiele dziewcząt kochałam się w Zbyszku Cybulskim, z którym potem przyjaźniłam się długie lata, a on mi teatr odradzał. Rodzice też przekonywali, żebym najpierw skończyła „porządne” studia. Liczyli, że potem zmadrzeję sama.

Nie chcieli, żeby „panna z dobrego domu”, z Dzieduszyckich, poszła do teatru. Na cześć jednego z jej przodków – hrabiego Skarbka, Chopin nadał imię Fryderyka swemu synowi. Z jej rodziny wywodzili się Jan Paweł Łuszczewski, sekretarz Sejmu Czterolatniego oraz Wojciech Dzieduszycki, filozof, minister i członek Rady Państwa w Wiedniu. Izabella Cywińska teraz wspomina ich z dumą, kiedyś nie chciała o nich słuchać. Drażnił ją sentyment rodziców dla arystokratycznej przeszłości. Wyrazem jej młodzieńczego buntu było czytanie Engelsa. Zaznaczała lewicowość odmawiając nauki gry w tenisa i wybierając bardziej „proletariacką” koszykówkę. Równocześnie jednak nie mogła się zgodzić na przekreślenie przez stalinowską szkołę tradycji i wartości, jakie wyniosła z domu. Pomiędzy dwoma biegunami szukała własnej drogi.

Wybrała etnografię z myślą o wielkich podróżach, odkrywaniu i poznawaniu innych kultur. Były to jednak czasy głębokiego komunizmu i wyjechać mogła najwyżej pod Puławką badać cepy i świrunki na Kurpiowszczyźnie.

Kiedy, o studiach zaczęłam pracować jako etnograf w Zakładzie Architektury Wiejskiej Politechniki Warszawskiej i spodziewałam się rozwiązywać wielkie problemy, kazano mi stemplować w bibliotece wydzielowej książki okragłą pieczęcią na stronie szesnastej. Zdecydowałam się rzucić wszystko i pójść na reżyserię.

Zdawała trzy razy, bo dziekan, profesor Bogdan Korzeniewski uważał, że naprawdę dobrymi reżyserami mogą być wyłącznie mężczyźni.

Byłam uparta. Mobilizował mnie strach przed utratą wiary we własne siły. Kiedy się dostałam, byłam jedyna wśród szesnastu panów.

Poznałam ją w 1957 r., kiedy obie wynajmowałyśmy pokoje u zwirowanej hrabiny. Mieszkanie było straszne: węgiel trzymano w wannie, a podłogę w kuchni zaścielały brudne garnki – wspomina Anna Bogdańska, jej przyjaciółka. – Były to czasy, kiedy Iza zarabiała jakieś grosze pisząc adaptacje dla teatralnego ruchu amatorskiego, a jednocześnie uczyła się do egzaminu na PWST. Sprawiała na mnie wrażenie osoby zrobionej z mocnego, wytrzymałego materiału. Egzamin oblała, ale nie załamała się, tylko wściekła i natychmiast zdecydowała, że zdaje za rok. Obydwie przeżywałyśmy komplikacje sercowe. Iza prowadziła bujne życie i bywało, że nad ranem wracała z różą w zębach. Potem zamieszkałyśmy razem i odchudzałyśmy się zawzięcie. Mówiliśmy wtedy nie o pieniądzu, tylko o kaloriach. Na obiad był kalafior bez masła, a Iza liczyła, ile kalorii będzie ją „kosztować” zjedzenie jajka. Po czym szła na wódkę. Rano dziwiła się większej wadze: „Hanisiu, przecież nic nie jadłam”. „Ale piłaś Izuniu”. I obliczałyśmy, ile kalorii „kosztuje” kieliszek wódki.

Izabella Cywińska miała niewyczerpane pomysły, jak zarobić na studia. Założyła na Krakowskim Przedmieściu butik z artystycznymi tkaninami i awangardowym wyposażeniem wnętrza. Szybko zbankrutowała, jako że stawiała kolegom suite obiady w restauracjach. Miała też idee, żeby podbić rynek „żabka-salto”, zabawką własnego pomysłu, ale skończyło się na projekcie. Później, sprzedając plastikowe klipsy zebrła sumę, która jej pozwoliła przeżyć parę miesięcy na reżyserii.

Dyplom musiała zrobić z „Meza i żony” Fredry, chociaż konwencja fredrowska ją drażniła, a marzył się jej „Dozorca” Pintera. Wyreżyserowała go potem w Białymstoku. Spektakl został zauważony, dzięki czemu uwierzyła w siebie. Zrozumiała, że reżyserem będzie nie dlatego, żeby komuś coś udowodnić, ale dlatego, że lubi i umie uprawiać ten zawód.

Rozpoczęła się wędrówka. Teatr im. Węgierki w Białymstoku, Ludowy w Nowej Hucie i Polski w Poznaniu. W 1969 r. znalazła swoje miejsce jako dyrektor i kierownik artystyczny Teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu.

W Kaliszu każdy nowy dyrektor musi się zmierzyć z jej legendą – opowiada Jan Buchwald, dyrektor Teatru im. Bogusławskiego. – Chociaż odeszła już ze dwadzieścia lat temu, wszystko, co się w teatrze zdarzy porównywane jest do tego, co ona robiła.

Wierzyliśmy, że uda nam się zrobić w Kaliszu teatr narodowy – wspomina Izabella Cywińska. – Uważaliśmy, że ludzie są wszędzie tacy sami. Prawdziwy teatr to teatr zespołowy. Staliśmy się wspólnotą teatralną i odnieśliśmy sukces: widownia była pełna, krytyka nas chwaliła, a my mieliśmy satysfakcję. Są reżyserzy, którzy chcą, żeby aktorzy realizowali ich własny sen, ja staram się śnić razem z aktorami. Wydaje mi się to uczciwsze. Gdy uznaliśmy, że w Kaliszu zrobiliśmy już swoje, zażyczyliśmy sobie większym miastem, za konkurencją. Całą grupę posłaliśmy do Poznania, gdzie udało się nam przeszczepić nasz własny styl pracy, nasze myślenie o teatrze. Zawiązaliśmy nową wspólnotę. Tym razem na szesnaste lat.

Teatr Nowy pod jej kierownictwem stał się znany w kraju i na świecie.

Iza jako dyrektor w dwóch rzeczach mało miała sobie równych. Umiała budować wokół teatru atmosferę święta – wspomina Janusz Wiśniewski, który pod jej dyktando pracował w Poznaniu. – W jakimś sensie to było niesłychane: ciągle wokół teatru kręciła się masa ludzi – jajogłowi, piękne kobiety, malarze, reżyserzy, poeci. Przyjeżdżali z innych miast na jeden spektakl, a zalegali na wiele dni. Poznań uwielbiał Izę. Ze swoją energią, brawurą i otwartością była w mieście gwiazdą. Dlatego teatr był na ustach wszystkich. Ludzie wisieli na lampach, żeby zobaczyć spektakle. To wszystko było świętem rozpętanym dzięki jej osobowości. Iza wygłaszała różne teorie, jak dobierać zespół, ale myślę, że jedynie jej niezwykła intuicja pozwoliła na stworzenie spójnego zespołu, którego legenda trwa do dziś. Iza była potworem, jeśli chodzi o egzekwowanie dyscypliny i punktualności. I chwala jej za to, bowiem od przyjęcia dyscypliny zaczyna się w teatrze wolność. Jako dyrektor teatru umiała zrobić rzecz najtrudniejszą – jej zespół czarował.

Teatr Janusza Wiśniewskiego tak okrzepł w Nowym, że i on sam i związani z nim aktorzy poczuili potrzebę usamodzielnienia się. Janusz wyprowadził ich do Warszawy. Jestem baba z krwi i kości, zazdrośna, więc nie ukrywam, że nigdy do końca nie wybaczyłam tej „zdrady”.

Stworzyli zupełnie różne teatry: Janusz Wiśniewski – teatr metafizyczny, w którym najważniejszą rolę odgrywa wizja reżysera, ona – teatr racjonalny, zaangażowany, z wyraźnymi odniesieniami do współczesnego życia społecznego i politycznego.

Cywińska w pracy jest uczciwa, bezwzględna, wymagająca, konkretna – komentuje Danuta Stenka, aktorka, która od lat razem z nią pracuje. – Wiadomo, kiedy idzie źle, a kiedy jest świetnie. Z jednej strony nie owija w bawełnę, z drugiej nie szczędzi pochwał. Nie proponuje monopolu na rację, szuka wspólnie z aktorami. Zmusza do ciężkiej, uczciwej roboty. Po próbach czy nagraniach czuję się zawsze jak przepuszczona przez wyżymaczkę, ale przecież o to właśnie chodzi. Jest w niej wielka siła, której ludzie się boją, zazdroścą i często nie lubią, ale są też w niej ogromne pokłady wrażliwości i delikatności małej dziewczynki. Zakochuje się w swoich aktorach i jest ich najlepszym kibicem. Z wzajemnością.

W czasie „Solidarności” Izabella Cywińska została wiceprzewodniczącą Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Twórczych w Poznaniu. Po wprowadzeniu stanu wojennego internowano ją. Nie było to pierwsze aresztowanie. W 1953 r. jeden z jej przyjaciół publicznie zaśpiewał legionową piosenkę i starano się Cywińskiej udowodnić, że razem z nim należy do tajnej organizacji. W 1968 r. aresztowano ją „za syjonizm”.

Kiedy w Polsce tworzył się pierwszy solidarnościowy rząd, reżyserowała właśnie w Omsku „Świętoszka” Moliera. Premier Tadeusz

Jolanta ZAREMBINA

Mazowiecki, chcąc zaproponować jej tekę ministra kultury, szukał jej po całym ZSRR. W hotelu nad Irtyszem znalazło ją KGB i wręczyło telefonogram. Przedtem, jako dyrektor teatru i reżyser miała znakomitą prasę, po objęciu stanowiska po początkowej euforii artykuły stały się zdecydowanie mniej przychylne.

– Wszyscy oczekiwali, że teraz w wolnej ojczyźnie zaczynają się dla kultury złote dni. A tymczasem budżet był pusty, szalała inflacja, trzeba było reformować kulturę bez specjalnych, przeznaczonych na ten cel środków. Krytykowano mnie za usiłowanie zniesienia „urawniłowki” w kulturze, za likwidowanie fasadowych instytucji, za decentralizację, właściwie za wszystko, bo wszystko okazało się bolesne dla środowisk kultury, przyzwyczajonych do starego. I mimo że wtedy przeznaczaliśmy na kulturę prawie 2 proc. budżetu, a teraz jest, jakby nie liczyć, daleko mniej, wtedy wołano o pomoc do nieba.

Dzisiaj nie cofnęłaby tych kilkunastu miesięcy, które dały jej przeżycie euforii wolności. Nie ma poczucia porażki. W tamtym czasie zanotowała w dzienniku, opublikowanym później w formie książki: „Rada Ministrów. Piąta godzina dyskusji i jeszcze więcej pewnie przed nami. Mam już wszystkiego dosyć. Nie ma pieniędzy i nie będzie. Cenzury jeszcze nie da się znieść. Przegrałam ulgi na czynsz za pracownię plastyczne. Paszyński kategorycznie się nie zgodził. – Albo przywileje, albo demokracja – krzyczeli”.

Jako minister opracowała projekt zreformowania teatrów, nazwany potem „kategoryzacją”. Kilka najlepszych scen miało dostać pełną gwarancję z budżetu, słabsze artystycznie byłyby wspierane dotacjami celowymi i miałyby szansę przejścia do lepszej „kategorii”.

– Uważam, że teatrów jest za dużo, że państwa nie stać na utrzymywanie takiej liczby scen miernych, bo biednych i biednych, bo miernych. Nie zdążyłam tego przeprowadzić. Dziś wiem, że za małym byłam Balcerowiczem. Nie dokonałam w teatrze tego, czego on w gospodarce. Ale ciągle zebralam podobne.

– Byłam przeciwny przyjęciu przez nią stanowiska i gdybym to ja miał o tym decydować, nie wyraziłbym zgody – stwierdził jej mąż Janusz Michałowski, aktor. – Razem z nią bardzo to wszystko przeżywałam. W tym krótkim czasie, kiedy była ministrem, środowisko ją atakowało, pomimo tego, że wywalczyła większe dotacje na kulturę. Panuje przekonanie, że Iza jest wyjątkowo silna, tymczasem tak naprawdę jest bardzo wrażliwą i w momentach trudnych po prostu słabą kobietą. Często byłam świadkiem płaczu. Oczywiście nigdy nie okazuje tego publicznie i szybko zabiera się znowu do roboty. W teatrze jej siłą było zarażanie innych wiarą, że stworzą najlepszą scenę na świecie. Siedziała od rana do nocy w gabinecie bez sekretarki, gdzie w każdej chwili mógł do niej na rozmowę wejść każdy. Lubili ją jak koleżankę, ale zachowywali respekt. Teraz Iza czasami się zarzeka, że już nigdy żadnego teatru nie obejmie, ale kto wie. Chociaż nie chciałabym, bo spała się w takiej pracy potwornie. Poznaliśmy się w Poznaniu i razem pojechaliśmy do Kalisza. Koledzy śmiali się, że wybrałabym taką dziurę, byli przekonani, że nam się nie uda. A udało się. Iza ma talent do organizowania, skupiania wokół siebie ludzi, przywództwa.

Jeszcze jako minister Izabella Cywińska założyła Fundację Kultury, mającą wspierać przedsięwzięcia kulturalne z funduszy pozabudżetowych. Okazało się jednak, że fundacja źle ulokowała część kapitału i straciła niebagatelne sumy.

– Nie odpowiadałam za finanse Fundacji, do mnie należał dział merytoryczny, ale skoro byłam członkiem zarządu i przez jakiś czas prezesem, ponoszę współodpowiedzialność. Bolała mnie nielojalność ludzi z Fundacji, którzy usiłowali zważyć na mnie całą winę. Moim grzechem była naiwność, a to mnie oczywiście nie usprawiedliwia.

Fundacja działa nadal, już bez swojej założycielki. Izabella Cywińska wróciła do zawodu, ale nie do teatru. Reżyseruje w telewizji. Twierdzi, że trudniej byłoby jej teraz zbudować zespół całkowicie oddany scenie. Nowym doświadczeniem jest dla niej film. Według węgierskiej powieści „Abigail” nakręciła 4-odcinkowy miniserial dla młodzieży, którego premierę zobaczymy w grudniu. Teraz realizuje następny – wielką sagę rodzinną według powieści Teresy Lubkiewicz-Urbaniowicz „Boża podszewka”. Akcja rozgrywa się w pierwszej połowie naszego wieku na Wileńszczyźnie i pokazuje polskie uwikłanie w historię.

– Ona reżyseruje ludzi, ja dźwięki – komentuje Jerzy Satanowski, kompozytor, który pisze do tego serialu muzykę. Znają się i współpracują od trzydziestu lat, od kiedy Satanowski debiutował u niej w Kaliszu. – Iza była zawsze bardzo ambitna, chciała wiele rzeczy naraz. Zaskakuje mnie, że po upływie tak długiego czasu nie jest znużona i ma coraz ambitniejsze plany. Działa w takim samym stanie gorączki twórczej.

– Korzystam z doświadczenia całego mojego życia – twierdzi Izabella Cywińska.

Pisząc scenariusz myślała o dzieciństwie spędzonym w rodzinnym dworze w Kamieniu. Mówiąc o kulturze, konwencji czy grze, przypomina sobie tamto celebrowanie imienin i świąt, domowe rytuały. Kiedyś przed Bożym Narodzeniem podpatrzyła z siostrą, jakie sanki robi dla nich stolarz i potem oglądając je pod choinką zdradziła, że już nie wierzy w przynoszące prezenty Aniolka. Zobaczyła wtedy twarze rodziców, zrozpaczonych, że skończyła się baśń dzieciństwa.